Nauka Katolicka.

(POSŁANIEC.)

„Nauka Katolicka“ wychodzi co czwartek w Bochum w Westfalii jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Osobno „Nauki Katolickiej“ prenumerować nie można. Kto więc chce ją otrzymywać, niech sobie zapisze na poczcie „Wiarusa Polskiego“.

„Wiarus Polski“, pismo polityczne wychodzi trzy razy tygodniowo z „Nauką Katolicką“, jako bezpłatnym dodatkiem. Prenumerata na poczcie wynosi 1 markę 50 fenygów kwartalnie, a z odnoszeniem do domu przez listowego 1 markę 75 fenygów.

Módl się i pracuj!

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Wiarusa Polskiego“.

Nr. 45. **Bochum, dnia 10 listopada 1898.** **Rok 7.**

Na niedzielę 24-tą po Świątkach.

Lekcya. Kolos. III. 12—17.

Bracia! Przyobleczcież się (jako wybrani Boży, święci i umiłowani), we wnętrzności miłosierdzia, w dobrotliwość, w pokorę, w cichość, w cierpliwość. Jedni drugich znosząc i odpuszczając sobie, jeśli kto ma skargę przeciw komu: jako i Pan odpuści wam, tak i wy. A nadto wszystko miejcie miłość, która jest związku doskonałości, a pokój Chrystusów niech przewyższa w sercach waszych, ku któremu też wezwani jesteście w jednem ciele; a wdzięczni bądźcie. Słowo Chrystusowe niechaj mieszka w was obficie z wszelaką mądrością, naucząjąc i sami siebie napominając, przez Psalmy i pieśni i śpiewania duchowne, w łasce śpiewając w sercach waszych Bogu. Wszystko, cokolwiek czynicie w słowie albo w uczynku, wszystko w imię Pana Jezusa Chrystusa, dziękując Bogu i Ojcu przez Jezusa Chrystusa Pana naszego.

Ewangielia. Mat. XIII. 24—30.

W on czas mówił Jezus rzeszom to podobieństwo: Podobne się stało Królestwo niebieskie człowiekowi, który posiał dobre nasienie na roli swojej. A gdy ludzie spali, przyszedł nieprzyjaciel jego, i nasiał kąkolu między pszenicą i odszedł. A gdy urosła trawa, i owoc uczyniła; tedy się pokazał i kąkol. A przystąpiwszy słudzy gospodarscy rzekli mu: Panie, iżaliś nie posiał dobrego nasienia na roli twojej? Skąd tedy kąkol ma? I rzekł im: Nieprzyjazny człowiek to uczynił. A słudzy rzekli mu: Chcesz iż pójdziemy i zbierzemy go? I rzekł: Nie, byście snać zbierali kąkol, nie wykorzenili zaraz z nim i pszenicy. Dopuśćcie obojgu rość aż do żniwa; a czasu żniwa rzekę żeńcom: Zbierzcie pierwej kąkol, a zwiążcie go w snopki ku spaleniu; a pszenicę zgromadźcie do gumna mojego.

Kazanie

o Sakramencie Małżeństwa, jego zacności, o powinnościach i grzechach małżonków.

Jak wielce potrzebna jest nauka o Sakramencie Małżeństwa, ztąd poznać można, iż małżeństwo godnie przyjęte jest nietylko dla małżonków rękojmią szczęścia doczesnego i wiecznego, ale też dobre małżeństwa rodzą Kościołowi i niebu dobre syny i córki, krajowi pożyteczne obywatele,

są rękojmią spokoju, porządku, poszanowania i pomyślności narodu.

Co jest małżeństwo i od kogo postanowione? Na jaki cel? Małżeństwo jest złączeniem mężczyzny i niewiasty w prawnym porządku za spólnem obojga zezwoleniem na pożycie z sobą nierozdzielne aż do śmierci. Małżeństwo ustanowił sam Bóg zaraz na początku świata, kiedy stworzywszy wszystkie rzeczy a nakoniec Adama, widział, że niedobrze człowiekowi być samemu, przeto z żebra z boku jego wyjętego uczynił mu pomocnicę, towarzyszkę, przyjaciela najwierniejszego, małżonkę Ewę, a błogosławiąc im, rzekł: „Rośćcie i mnóżcie się i napełniajcie całą ziemię. Co Bóg połączył, człowiek niech nie rozłącza". Z tego widzimy, że Bóg ustanowił jedność małżeństwa, tj. jednego mężczyzny z jedną niewiastą; nierozjemność czyli nierozerwalność, oznacza, że związek małżeński trwa aż do końca życia jednego z małżonków. Bóg ustanowił małżeństwo w trojakim celu: 1. dla rozkrzewienia rodzaju ludzkiego; 2. jako lekarstwo na chuć cielesną i ochronę od grzechu; 3. dla wzajemnej pomocy i przyjemności pożycia.

Małżeństwo nie pozostało przy swojem pierwotnem ustanowieniu i urządzeniu, dla tego naprawił je Jezus Chrystus.

Za Patryarchów, acz wyjątkowo, jednak dozwolone było wielożeństwo, a to dla prędszego rozmnożenia narodu wybranego; za Mojżesza dla zatwardziałości i uporu żydów dozwolone były rozwody; nareszcie łączono się w pokrewieństwie bliskiem. Chrystus Pan naprawił i oczyścił małżeństwo w ten sposób, że go do pierwotnego stanu przywrócił, postanowił znowu jedność małżeństwa, mówiąc: „i będą dwoje w jednem ciele"; zniósł rozwody i nauczył, że małżonkowie nie mogą się wzajemnie opuszczać na zawsze (krom czasowego opuszczenia z przyczyny cudzołóstwa), niektóre stopnie pokrewieństwa zostawił Kościołowi do dyspenzowania; ale co najważniejsza, że wyniósł małżeństwo do godności Sakramentu i łaski i pomoce nadprzyrodzone doń przywiązał. I toćto jest, co małżeństwo katolickie wyżej stawia nad żydowskie i pogańskie, które takoż z pewnymi obrzędami się odprawuje, ale łaski sakramentalnej nie daje.

Że małżeństwo jest Sakramentem, tego uczy nas Paweł św., zowiąc małżeństwo wielkim Sakramentem w Chrystusie i w Kościele.

Kościół święty od apostolskich czasów zawsze tak wierzył i nauczał; co się pokazuje z nauki Ojców Kościoła i wyroków Soborów świętych.

Małżeństwo zawiera w sobie to wszystko, co Sakrament mieć powinien: znak widomy: podanie sobie rąk i dobrowolne przyzwolenie uczynione słowami: „Ja sobie biorę ciebie za małżonkę(a)", wobec własnego pasterza, wiążącego stułą ich ręce i udzielającego im błogosławieństwa; łaskę niewidomą i ustanowienie od Jezusa Chrystus; o czem wnet usłyszycie.

Jakie są obowiązki małżonków? — Mąż powinien miłować żonę, mieć o nią staranie i nią roztropnie rządzić. Żony zaś swoich mężów powinny miłować, słuchać i szanować. Małżonkowie powinni dochowywać sobie wierności, wzajemnie bogobojnym żywotem sobie przyświecać, wychowywać dzieci swe w bojaźni Bożej i starać się o ich dobro doczesne i wieczne. A najprzód miłość małżonków nie powinna być czasową, póki żona młoda, piękna, zdrowa, ale dozgonną, stateczną. Nie miłość w szczęściu tylko, ale zawsze, w najcięższych odmianach; czy dobry, czy zły mąż, trzeba go cierpieć do śmierci. Jako Chrystus duszę swą położył za Kościół, tak mąż powinien być gotów położyćżycia za żonę. Już wszystkich tych rzeczy mieć ze siebie nikt nie może, ani od ludzi, ani od rodziców, jeno od Chrystusa Pana. Chrystus, który obmyślał na wszystkie potrzeby życia naszego stósowne łaski, męką i śmiercią swoją wysłużył także małżonkom łaskę potrzebną do wypełnienia tak świętych, ważnych a trudnych obowiązków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obrona Częstochowy.

(Ciąg dalszy.)

Młody mniszek aż ręce złożył, a Marcin spoglądał z uwielbieniem na pana Czarnieckiego, i odtąd starał się zawsze być przy nim. Lecz widział jego czyn i ksiądz Kordecki, który właśnie zbliżał się w tę stronę. Ten nadszedł, wziął pana Piotra obu rękoma za głowę, następnie położył na niej znak krzyża.

— Tacy jak ty, nie poddadzą Jasnej Góry! — rzekł — ale zakazuję żywot potrzebny narażać. Już strzały cichną i nieprzyjaciel schodzi z pola; weźże tę kulę, wysyp z niej proch i ponieś ją Najświętszej Pannie do kaplicy. Miły Jej będzie ten podarek!

— Ojcze! — odrzekł rozrzewniony Czarniecki — co tam wielkiego!... Jabym dla Najświętszej Panny... Ot, słów w gębie nie staje!... Jabym na męki, na śmierć... Jabym nie wiem co był gotów uczynić, byle Jej służyć...

I łzy błysły w oczach pana Piotra, a ksiądz Kordecki rzekł:

— Chodźże do Niej z temi łzami, póki nie obeschną. Łaska Jej spłynie na ciebie, uspokoi cię, pocieszy, sławą i czcią przyozdobi!

To rzekłszy, wziął go pod ramię i poprowadził do kościoła, Marcin zaś spoglądał za nimi czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Siła widziałem w życiu odważnych kawalerów, którzy za nic sobie mieli niebezpieczeństwo, ale ten rycerz, to chyba d...

Tu Marcin uderzył się w gębę dłonią, żeby sprośnego imienia w świętem miejscu nie wymówić.

V.

Walka na armaty nie przeszkadzała wcale układom. Postanowili korzystać z nich ojcowie za każdym razem, chcąc łudzić nieprzyjaciela i zwłóczyć, aby przez ten czas doczekać się jakiejkolwiek pomocy, albo przynajmniej zimy surowej; Müller zaś, nie przestawał wierzyć, że zakonnicy pragną tylko najlepsze warunki wytargować.

Wieczorem po owej strzelaninie, wysłał znów pułkownika Kuklinowskiego, z wezwaniem do poddania się. Temu Kuklinowskiemu pokazał przeor salwę-gwardyę królewską, którą od razu zamknął mu usta. Lecz Müller miał późniejszy rozkaz królewski zajęcia Bolesławia, Wielunia, Krzepic i Częstochowy.

— Zanieś im waszmość ten rozkaz — rzekł szwedzki jenerał do Kuklinowskiego — bo tak myślę, że po okazaniu go zbraknie im materyi do wykrętów.

Lecz się mylił.

Ksiądz Kordecki oświadczył, iż jeśli rozkaz obejmuje Częstochowę, niechże ją sobie jenerał szczęśliwie zajmuje, przyczem może być pewnym, że ze strony klasztoru nie dozna żadnej przeszkody, ale Częstochowa nie jest Jasną Górą, ta zaś ostatnia nie jest w rozkazie wymieniona.

Usłyszawszy tę odpowiedź, Müller poznał, że z mądrymi ma do czynienia politykami, zabrakło mu więc racyi, pozostawały tylko armaty.

Jednakże przez noc trwało zawieszenie broni. Szwedzi pracowali usilnie nad wzniesieniem potężniejszych szańców; jasnogórcy opatrywali szkody wczorajsze i ze zdumieniem przekonali się, że ich nie było. Gdzieniegdzie połamane dachy i krokwie, gdzieniegdzie płaty tynku opadłego z murów — oto wszystko. Z ludzi nikt nie poległ, nikt nie został nawet skaleczony.

Ksiądz Kordecki obchodząc mury, mówił z uśmiechem do żołnierzy:

— Patrzcie jeno, nie tak straszny ów nieprzyjaciel i jego bombardy, jak mówiono. Po odpuście nieraz większe szkody się trafiają. Opieka Boska nas strzeże, ręka Boża nas piastuje, ale my trwajmy tylko, toć jeszcze większe cuda zobaczymy.

Nadeszła niedziela, święto Ofiarowania Najświętszej Panny. W nabożeństwie nie było przeszkody, bo Müller oczekiwał na ostateczną odpowiedź, którą zakonnicy obiecali przesłać po południu.

Tymczasem pomni na słowa Pisma Świętego, jako dla przestraszenia Filistynów,

Izrael, obnosił arkę Bożą koło obozu, chodzili znów procesyonalnie z monstrancyą.

List wysłano o godzinie drugiej, ale nie z poddaniem się, tylko z powtórzeniem odpowiedzi danej Kuklinowskiemu, iż kościół i klasztór zowią się Jasną Górą, miasto zaś Częstochowa wcale do klasztoru nie należy. Ksiądz Kordecki pisał:

„Dla tego to błagamy usilnie jego dostojność, abyś zechciał zostawić w pokoju zgromadzenie nasze i kościół Bogu i Najświętszej Bogarodzicy poświęcony, iżby w nim cześć Boga na przyszłość pozostała, gdzieby zarazem Majestat błagano o zdrowie króla. Tymczasem my niegodni, zanosząc nasze prośby, polecamy się najusilniej łaskawym względom waszej dostojności, pokładając ufność w jego dobroci, po której i na przyszłość wiele sobie obiecujemy...“

Byli przy czytaniu tego listu obecni: Wrzeszczowicz, Sadowski, Horn, de Fossis, znakomity inżynier, nakoniec ks. Heski, człowiek młody, wyniosły bardzo, który lubo podkomendny Müllera, chętnie mu swą wyższość okazywał. Ten więc uśmiechnął się złośliwie i powtórzył z przyciskiem zakończenie listu.

— Po dobroci waszej wiele sobie obiecują; to przymówka o kwestyę, panie jenerale. Zadam wam jedno pytanie, mości panowie: czy mnichy lepiej się proszą, czy lepiej strzelają?

— Prawda! — rzekł Horn. — Przez te pierwsze dni straciliśmy tylu ludzi, że i dobra bitwa więcej nie weźmie!

— Co do mnie — mówił dalej książę Heski — pieniędzy nie potrzebuję, sławy nie zyskam, a nogi w tych chałupach odmrożę. Co za szkoda, żeśmy do Prus nie poszli, kraj bogaty, wesoły, jedno miasto lepsze od drugiego.

Müller, który czynił prędko, ale myślał powoli, dopiero w tej chwili wyrozumiał sens listu, poczerwieniał więc i rzekł:

— Mnisi drwią z nas, mości panowie!

— Tak to wyglada — odrzekł Horn.

— Więc do szańców! Mało było wczoraj ognia i kul!...

Rozkazy dane przeleciały szybko z jednego końca linij szwedzkich w drugi. Szańce pokryły się sinawemi chmurami, klasztor odpowiedział wnet z całą siłą. Tym razem jednak działa szwedzkie lepiej ustawione, większą poczęły czynić szkodę. Sypały się bomby ładowne prochem, ciągnące za sobą warkocz płomienia. Rzucano także rozpalone pochodnie i kłęby konopi, przesiąkniętych żywicą.

Jak czasem stada wędrownych żórawi, znużone długim lotem, obsiadają wzgórza wyniosłe, tak roje tych ognistych posłanników padały na szczyty kościoła i na drewniane dachy zabudowań. Kto nie brał udziału w walce, kto nie był przy armatach, ten siedział na dachach. Jedni czerpali wodę w studniach, drudzy ciągnęli sznurem wiadra, trzeci tłumili pożar mokremi płachtami. Niektóre kule łupiąc belki i krokwie, wpadały na strychy i wnet dym i woń spalenizny napełniały wnętrze budynków. Lecz i na strychach czychali obrońcy z beczkami wody. Najcięższe bomby przebijały nawet i pułapy. Mimo nadludzkich wysileń, mimo czujności, zdawało się, że pożoga prędzej czy później musi ogarnąć klasztor. Pochodnie i kłęby konopne, spychane drągami z dachów, utworzyły pod ścianami stosy gorejące. Okna pękały od żaru, a niewiasty i dzieci zamknięte w izbach, dusiły się dymem i od gorąca.

Ledwie pogaszono jedne pociski, ledwie wody spłynęły po zrębach, leciały nowe stada rozpalonych kul, płonących szmat, iskier żywego ognia. Cały klasztor był nim objęty, rzekłbyś: niebo otworzyło się nad nim i ulewa piorunów nań spada, jednak gorzał a nie palił się, płonął i nie zapadał w rumowisko; co więcej, wśród tego morza płomieni, śpiewać począł, jak ongi Młodzieńcy w piecu ognistym.

Albowiem tak samo, jak dnia wczorajszego ozwała się pieśń z wieży z towarzyszeniem trąb. Ludziom, stojącym na murach i pracującym przy działach, którzy w

każdej chwili mogli sądzić, że tam już wszystko płonie i w gruzy się wali za ich plecami, pieśń ta była jakby balsam kojący, zwiastowała im bowiem ciągle i ustawicznie, że stoi klasztor, stoi kościół, że płomień dotąd nie zwyciężył wysileń ludzkich. Odtąd też weszło w zwyczaj podobną pieśnią osładzać sobie niedolę oblężenia i straszliwy krzyk srożącego się żołnierstwa oddalać od uszu niewieścich.

Lecz i w obozie szwedzkim czyniła owa pieśń i kapela nie małe wrażenie. Żołnierze na szańcach słuchali naprzód z podziwem, potem z zabobonnym strachem.

— Jakto? — mówili między sobą — rzuciliśmy na ów kurnik tyle żelaza i ognia, że nie jedna potężna twierdza z popiołem i dymem jużby uleciała, a oni sobie wygrywają radośnie... co to jest?

— Czary! — odpowiadali inni.

— Kule się tamtych ścian nie imają. Z dachów granaty staczają się, jakobyś bochenkami rzucał. Czary! czary! — powtarzali. — Nic nas tu dobrego nie spotka!

Niektórzy z radzców nawet przypisywali tym pieśniom tajemnicze jakieś znaczenie. Lecz niektórzy tłómaczyli to inaczej, i Sadowski rzekł głośno, umyślnie, aby go Müller mógł słyszeć:

— Musi się im dobrze dziać, skoro się weselą, czyli że dotychczas napróżno tylko napsuliśmy tyle prochów.

— Których nie mamy wiele, — rzekł książę Heski.

— Ale za to mamy wodza sławnego — odrzekł Sadowski takim tonem, że nie można było wyrozumieć, czy drwi, czy chce pochlebić Müllerowi.

Ten jednak wziął to przeciw sobie, bo wąsa przygryzł.

— Zobaczymy, czy za godzinę będą jeszcze grali! — rzekł, zwracając się do swego sztabu.

I kazał ogień podwoić.

Lecz rozkazy jego spełniono zbyt gorliwie. — W pospiechu, za wysoko podnoszono działa, skutkiem czego kule poczęły przenosić. Niektóre dolatywały, szybując nad kościołem i klasztorem, aż do przeciwległych szańców szwedzkich; tam druzgotały dylowania, rozrzucały kosze, zabijały ludzi.

Godzina jedna upłynęła, potem druga. Z wieży kościelnej rozlegała się ciągle uroczysta muzyka.

Müller stał w Częstochowie i patrzył długo przez perspektywę.

Obecni zauważyli, że ręka, którą trzymał perspektywę przy oczach, drżała mu coraz silniej, nakoniec zwrócił się do obecnych i zakrzyknął:

— Strzały nie szkodzą wcale kościołowi!

Tu gniew niepohamowany, szalony, ogarnął starego wojownika. Cisnął lunetę o ziemię, aż rozprysła się w sztuki.

— W tej chwili inżynier de Fossis przygalopował do niego.

Panie jenerale! — rzekł — podkopu nie można robić. Pod warstwą ziemi skała leży. Tutaj trzebaby górników.

Müller zaklął, lecz jeszcze nie dokończył przekleństwa, gdy znowu oficer z częstochowskiego szańca przybiegł pędem i salutując po żołniersku ozwał się:

— Największe działo nam rozbito! Czy zaciągnąć drugie ze Lgoty?

Ogień istotnie osłabł nieco, muzyka rozlegała się coraz uroczyściej.

Müller odjechał do swej kwatery, nie rzekłszy ani słowa. Lecz nie wydał rozkazów wstrzymujących walkę. Postanowił zmęczyć oblężonych. Wszak tam, w twierdzy, zaledwie dwustu ludzi było załogi, on zaś miał ciągle świeżych żołnierzy do zmiany.

Nadeszła noc, działa grzmiały bez ustanku, lecz klasztorne odpowiadały żywo, żywiej nawet, niż w dzień boognie szwedzkie wskazywały im cel gotowy. Nieraz bywało, że ledwie żołnierze obsiedli ognisko i wiszący w niem kocieł, gdy na raz nadlatywała z ciemności fasskula klasztorna, jakby duch śmierci. Ognisko rozbryzgiwało się w drzasgi i skry, żołnierze rozbiegali się z wrzaskiem nieludzkim i albo

szukali przy innych towarzyszach schronienia, albo błąkali się wśród nocy zziębli, głodni, przerażeni.

Koło północy, ogień klasztorny wzmocnił się jeszcze, więc tak daleko, jak strzał mógł dosięgnąć, ani podobna było rozpalić drewek. Zdawało się, że oblężeni mówią mową dział następujące słowa: „Chcecie nas zmęczyć... próbujcie, sami wyzywamy!“

Wybiła godzina pierwsza i druga. Począł mżyć drobny deszcz w postaci mgły zimnej, a przenikliwej, która zbijała się miejscami jakoby w słuby, kolumy a mosty, czerwieniące się od ognia. Przez owe słupy z za mgły widać było chwilami grożne zarysy klasztoru, który zmieniał się w oczach; raz zdawał się być wyższym niż zwykle, to znów jakoby zapadł w otchłań. Od szańców aż do jego murów, wyciągały się jakby jakieś złowrogie sklepienia i kurytarze, utworzone z mgły i ciemności, a tymi kurytarzami nadlatywały kule, śmierć niosące. Chwilami całe powietrze nad klasztorem stawało się jasne, jakby je oświeciła błyskawica. Wówczas mury, wyniosłe ściany i wieże świeciły jaskrawo, potem znów gasły.

Zołnierze poczęli patrzeć przed siebie z trwogą ponurą i zabobonną. Raz wraz też trącał jeden Szwed drugiego i szeptał:

— Widziałeś? Ten klasztor zjawia się i znika na przemian.. To nieludzka moc!

— Widziałem lepiej — mówił drogi. — Celowaliśmy tam właśnie działem, co pękło, gdy nagle cała forteca poczęła skakać i drygać, jakoby ją kto na linie do góry podnosił i zniżał Celuj tu do takiej fortecy, trafiaj!

To rzekłszy, żołnierz rzucił szczotkę działową i po chwili dodał:

— Nic tu nie wystoimy!... Nie powąchamy ich pieniędzy... Brr! zimno! Macie tam maźnicę ze smołą, zapalcie, choć ręce ogrzejemy!

Jeden z żołnierzy począł rozpalać smołę z pomocą siarkowanych nici. Rozpalił naprzód kwacz, potem zaczął go zwolna zanurzać.

— Zgaście światło! — zabrzmiał głos oficera.

Lecz niemal jednocześnie rozległ się szum fasskuli, potem krzyk krótki, urywany i światło zgasło.

Noc ciężkie przyniosła straty Szwedom. Naginęło mnóstwo ludzi przy ogniach; w niektórych miejscach rozegnano ich tak, że niektóre pułki raz wpadłszy w zamieszanie, nie mogły do samego rana przyjść do sprawy. Oblężeni, jakby chcąc okazać, że snu nie potrzebują, strzelali coraz gęściej.

Brzask oświecił na murach twarze zmęczone, blade, bezsenne, ale ożywione gorączką. Ksiądz Kordecki w nocy leżał krzyżem w kościele; skoro świt, pojawił się na murach i błogi głos jego rozlegał się przy działach, na kortynach, koło bram:

— Cóg dzień czyni, dzieci... Niech będzie światło jego błogosławione: Nie ma szkód ni w kościele, ni w zabudowaniach... Ogień ugaszony, życia nikt nie stracił. Panie Mosiński! kula ognista wpadła pod kolepkę waszmościnnego dzieciątka i zgasła, szkody mu nijakiej nie uczyniwszy. Podziękuj Najświętszej Pannie i odsłuż Jej!

— Niech będzie Jej Imię wysławione! — odrzekł Mosiński — służę jak mogę.

Przeor poszedł dalej.

Switało już zupełnie, gdy stanął przy Czarnieckim. Marcina nie spostrzegł, bo on przelazł na drugą stronę obejrzeć dylowania, które kula szwedzka nieco uszkodziła. Ksiądz zaraz spytał:

— A gdzie to Otręba? żali nie śpi?

— Ja zaś miałbym spać w taką noc! odpowiedział Marcin, gramoląc się na mur. — Tożbym sumienia nie miał! Lepiej czuwać na ordynansie Najświętszej Panny!

— Lepiej, lepiej, służko wierny! — odrzekł ksiądz Kordecki.

Lecz Marcin zobaczył w tej chwili połyskujące zdala mdłe światełko szwedzkie i zaraz zakrzyknął:

— Ogień tam, ogień! celuj! wyżej! w nich psubratów!

Uśmiechnął się ksiądz Kordecki, jak archanioł, widząc taką gotowość gorliwą i

wrócił do klasztoru, by spracowanym polewki piwnej, smakowicie kostkami sera kraszonej, podesłać.

Jakoż w pół godziny potem, pojawiły się niewiasty, księża i dziadkowie kościelni, niosąc dymiące garnki i dzbany.

Chwycili je skwapliwie żołnierze i w krótce wzdłuż całych murów rozległo się łakome siorbanie. Chwalili sobie też ów napitek, mówiąc:

— Nie dzieje się nam krzywda w służbie u Najświętszej Panny! wikt zacny!

— Gorzej Szwedom! — mówił Marcin — źle im było warzyć strawę tej nocy, gorzej będzie przyszłej.

— Mają dosyć psiawiary! Pewnie we dnie dadzą sobie i nam odpocznienie. Już im teraz i armacięta musiały od ciągłego kichania pochrypnąć.

Lecz żołnierze mylili się, bo dzień nie miał przynieść spoczynku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przykra odmowa.

Mam zwyczaj, będąc w podróży — opowiada p. Z. — że gdy przyjadę do miejsca, gdzie się dla interesów zatrzymać muszę, odwiedzam kościoły.

Niedawno przyjechałem w poniedziałek wieczór do L. Zamówiwszy pokój w gospodzie, skierowałem me kroki ku skromnemu kościołowi wiejskiemu. Przyszedłem właśnie, gdy stowarzyszenie pobożnych dziewic i kobiet śpiewało pieśni do Najśw. Panny. Między licznemi, jak mi się zdawało, nie wykształconemi głosami, jeden odznaczał się dźwiękiem i czystością.

Skoro i ja skończyłem modlitwę do Najśw. Panny, zmusiła mnie jakaś nieprzezwyciężona ciekawość zapytać się kościelnego, co to za dziewczyna, która tak bardzo wyróżniała się śpiewem od innych?

Często dają się kościelni długo prosić, zanim słowo przemówią; ale ten zaczął natychmiast mówić i opowiedział mi więcej, jak się spodziewałem.

— Niedawno prosił młody człowiek z naszej parafii o rękę tej dziewczyny — rzekł kościelny. Miał on dużo pieniędzy, bardzo dobre widoki, a przytem, jak mówili przyjaciele, którzy go przedstawiali, wiele „dobrych przymiotów i zdolności“. Rodzice tej dziewczyny mają się wprawdzie dobrze, ale nie są bogaczami; za to jednak używają najlepszej sławy, osobliwie zaś dziewczyna jest wzorem pracowitości, skromności i pobożności.

Młody człowiek będąc w tych warunkach, sądził, że potrzebuje tylko swe życzenie objawić, a już będzie spełnione. Ale się grubo omylił.

Z początku szło wszystko gładko — przyjaciele młodego człowieka wybornie sprawę załatwili, gdy wtem ojcu dziewczyny wpadło na myśl zapytać:

— Jakże się ma z religią owego młodzieńca? Czy chodzi on na Mszę św.?

— Zapewniam pana, ręczył jeden z przyjaciół jak najsolenniej, że on ma bardzo dobre usposobienie i że jest bardzo zacny... Ale co się tyczy religii i Mszy św., no... to jest taki, jak wielu z naszych młodych ludzi — pobożnym nie jest.

— Ta mi bardzo przykro, odrzekł ojciec dziewczyny; ale kto nie jest wierny Bogu, ten i żonie swej wiernym nie będzie.

— Jakże się to rozumie? Czy to ma być odmowna odpowiedź?

— To jest, rzekł ojciec. Ani religii, ani niedzieli, ani święta, ani Mszy; dla tego też ani żony.

— Brawo! rzekłem do kościelnego. Oto mąż, jakichby się wielu zdało.

— Ta odpowiedź ojca, kończy kościelny, natychmiast z ust do ust poszła — a najzacniejsi młodzieńcy z okolicy współubiegają się, aby mieć przystęp do tej rodziny.

— Bardzo temu wierzę — to jest nagroda cnoty.

Miłosierne dziecko.

Helena S. była miluchnem dzieckiem dziewięcioletniem.

Rodzice oddali ją na wychowanie do zakładu Sióstr zakonnych, przez co tkliwe serce Helenki stało się przystępnem dla bojaźni Bożej i wszelakiej cnoty.

Codzień z natężoną uwagą słuchała nauki religii, a następujący rys jej dziecięcej pobożności dowodzi, jak bardzo tę naukę brała sobie do serca.

Katecheta mówił o sądzie ostatecznym i wspomniał o słowach Zbawiciela, którémi powita wybranych: „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, albowiem byłem głodnym, a nakarmiliście mnie, byłem spragnionym a napoiliście mnie.“ Helena była bardzo wzruszona.

Wieczorem tego dnia odwiedził ją ojciec, co jej wielką sprawiło radość. Miał zwyczaj przynosić jej zawsze jakich łakoci, alè dziś rzekł:

— Nie miałem dziś czasu kupić ci ciasteczek Helenko; oto masz: kup sobie za to, co ci się podoba.

To mówiąc, dał jej dukata.

Helenka serdecznie za to ojcu podziękowała i zapytała, czy może tych pieniędzy użyć wedle upodobania.

Ojciec, który znał swą córeczkę, chętnie zezwolił, aby z temi pieniędzmi zrobiła, co się jej podoba.

Zaledwie ojciec z nią się pożegnał, gdy Helenka rozpromieniona radością pobiegła do Matki przełożonej i zawołała:

— Przewielebna Matko! tę złotówkę dał mi mój ojciec; mogę sobie za nią kupić ciastek, albo użyć jej, na co mi się podoba. Niech mi Mateczka więc powie, czego ta biedna kobieta N. najbardziej potrzebuje; bo ona tu często przychodzi i prosi o jałmużnę; ja jej to kupię i zaniosę, bo na ostatecznym sądzie Pan Jezus nie powie do mnie: „Chodź do nieba, Heleno, boś jadła ciasteczka,“ ale z pewnością zaprosi mnie, gdy będzie mógł do mnie powiedzieć: „Byłem głodny, a tyś mnie nakarmiła.“

Przełożona czyniła jej jeszcze trudności, aby jej stanowczość na próbę wystawić, ale Helena była niewzruszona. Kupiła więc za to prześcieradła a Helena zaniosła je wraz z różnem pożywieniem ubogiej kobiecie.

Świętojózafacie

czyli składka na ubogich studentów katolicko-polskich.

Niedobór (zob. nr. 44) 29,79 m.

Na weselu pana Franciszka Nowaka w Laar p. Ruhrort: A. Wawrzyniak 4 m., Fr. Nowak z żoną 3 m., M. Chlasta 1 m., R. Wodniczak 1 m, Fr. Klarczyk z żoną 1 m., J. Klarczyk 1 m., T. Nowak 1 m., L. Wolniak 1,20 m., W. Kaczmarek 80 fen., St. Hoffmann z żoną 70 f., Fr. Piosik 50 f., J. Trawiński z żoną 50 f., M. Karbowiak z żoną 50 f., J. Karulak 50 f., J. Ilski 50 f., (nadesłał p. St. Hoffmann — porto 20 fen.) . . . . . . 17,00 „

Na chrzcinach u p. Marka Pawełki w Röhlinghausen: M. Pawełka z żoną 1 m., St. Terpisz z żoną 1 m., St. Teper 1 m., St. Bała z żoną 1 m., J. Frąckowiak 1 m., A. Czapnik 50 fen., M. Kubera z żoną 50 fen., M. Kurzawa 1 m., Fr. Okończak z żoną 50 f., Fr. Frąckowiak 1 m. (wręczył p. Fr. Frąckowiak) . . . . 8,50 „

Na zaręczynach u p. Ant. Roszaka: A. Roszak z narzeczoną 1,50 m., I. Roszak z żoną 1 m. M. Sobański 1 m., W. Eichler 1 m., St. Polaszyk 1 m., M. Grzemny 1 m., Fr. Sobasik 50 fen., A. Świtała 60 f., J. Kozera 50 f., J. Grzęda 25 f., T. Kleinert 50 f., M. Grzela 15 fen. Dzieci Ignacego Roszaka: Jan 20 f., St. 20 f., M. 10 f., M. Matuszewski 1 m., Fr. Frąckowiak 50 f., (wręczył p. Fr. Frąckowiak z Günnigfeld) . . . . 11,00 „

Ksiądz N. N. . . . . 10,00 „

Na chrzcinach u p. Walentego Maćkowiaka w Bruchu: W. Maćkowiak z żoną 1 mr., T. Maćkowiak 1 m., W. Sobkowiak 50 fen., J. Sobkowiak 50 fen., A. Dudziak 50 fen., F. Tiecner z żoną 1 m., J. Łuczak z żoną 25 f. P. Mieloch z żoną 50 fen, J. Antkowiak z żoną 1 mr. (nadesłał pan Piotr Mieloch — porto 25 fen.) . . . . 6,00 „

Razem 52,50 m.
Odchodzi niedobór: 29,79 „
Pozostaje w kasie: 22,71 „

Bóg zapłać! Św. Józafacie, módl się za nami!

8. 11. 1898 pro: Ks. Liss.
Jan Bieliński, Bochum Maltheserstr. 17a.

Kalendarz tygodniowy.

Listopad.

13. Niedziela. Stanisława Kostki.
14. Poniedziałek. Dydaka Wyzn.
15. Wtorek. Leopolda i Gertrudy.
16. Sroda. Edmunda B.
17. Czwartek. Salomei kr.
18. Piątek. Poświęcenie kościoła Rzym.
19. Sobota. Elżbiety kr.

Katechizm rzymsko-katolicki

Cena za egzemplarz oprawny 35 fen., z przesyłką 45 fen.
Adres: „Wiarus Polski“, Bochum.

Redaktor odpowiedzialny: ks. Franciszek Liss w Rumianie. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego“.